ABC literacko-artystyczne

Stały dodatek tygodniowy pod redakcją Stanisława Piaseckiego

Rok III. | Niedziela 16 grudnia 1934 r. | Nr. 52

Stanisław Piasecki

Przewrót w grafice

Gdy w roku zeszłym ogłoszona przez redakcję ABC subskrypcja na drzeworyty (po znacznie obniżonej cenie) przyniosła wielki sukces naszej inicjatywie, mogło się jeszcze wydawać, że wyciąganie jakichś ogólniejszych wniosków z tego odosobnionego faktu jest rzeczą ryzykowną. Dziś mamy już za sobą dalsze doświadczenia. Druga subskrypcja, ogłoszona tego roku, nietylko że nie wykazała osłabienia zainteresowań grafiką szerokich kół społeczeństwa, ale przeciwnie, dała sukces jeszcze większy. Nie był to więc słomiany ogień, ani jednorazowy wynik propagandy prasowej. Akcja subskrypcyjna utrafiła w potrzebę społeczeństwa i umożliwiła jej zaspokojenie. Społeczeństwo potrzebuje sztuki. Ale wedle stawu grobla. Zdemokratyzowane społeczeństwo potrzebuje sztuki demokratycznej, dostępnej ceną zubożałym kieszeniom inteligenckim. Grafika, jako ta gałąź sztuki, która opiera się na powielaniu, a więc przy wyższym nakładzie (większej ilości odbitek) umożliwia takie obniżenie ceny, jakie jest niemożliwe w innych dziedzinach sztuki, opartych o zasadę unikatu (malarstwo, rzeźba w kamieniu i drzewie i t. p.) — z natury rzeczy musi odegrać decydującą rolę w zaspakajaniu potrzeb artystycznych zdemokratyzowanego społeczeństwa.

Akcja subskrypcyjna, zainicjowana w zeszłym roku przez nasze pismo, utrafiła snać w sedno, skoro nietylko u nas dwukrotnie już święciła sukcesy, ale również podjęta została przez inne pisma. Wileńskie „Słowo" zorganizowało na wzór naszej akcji subskrypcję na prace graficzne młodych artystów wileńskich — z ogromnem powodzeniem. W chwili obecnej są nadto w pełnym biegu dwie analogiczne subskrypcje, zorganizowane przez „Słowo Pomorskie" w Toruniu i „Kurjer Poznański". Pomorze oparło się na pracach warszawskich grafików z „Rytu" — Poznań ogłosił subskrypcję na prace graficzne artystów wielkopolskich. Obydwie akcje, sądząc z pierwszych wiadomości, rozwijają się doskonale.

Ale nie koniec na tem. Inicjatywa ABC poszła nietylko wszerz i wzdłuż Polski, ale również i poza granice kraju. Red. W. Czerwinka z Pragi Czeskiej zawiadomił nas listownie, że praskie „Narodni Listy" organizują za naszym wzorem podobną subskrypcję na grafikę czeską. Raz więc nie my od zagranicy przejmujemy pomysły organizowania życia artystycznego, ale zagranica przejmuje pomysł polski.

Żywiołowe rozprzestrzenienie się subskrypcyj prasowych na prace graficzne będzie musiało wywołać przewrót w pojęciach o grafice artystycznej, będzie musiało przywrócić grafice tę rolę, jaką grała ona w dawnych czasach, zanim wynaleziono mechaniczne metody reprodukcyj (cynkografja). Grafika artystyczna, wyparta z dawnych pozycyj przez mechaniczne techniki reprodukowania (przedewszystkiem przez fotograficzne przenoszenie obrazu na drukarską kliszę cynkową), dała się zepchnąć do roli rarytasu dla smakoszów i bibljofilów. Artyści - graficy swe drzeworyty, akwaforty, czy litografje odbijali już ostatnio w kilku, lub kilkunastu egzemplarzach, a i na te drobne ilości niezawsze znajdowali nabywców. Grafikę artystyczną uprawiało się u nas ostatniemi laty raczej dla honoru domu, niż dla zaspakajania potrzeby odbiorców. Oczywiście, im odbitek było mniej i im szansa sprzedaży większej ilości bardziej problematyczna, tem cena wyższa. Aż doszło do tego, że grafika artystyczna — przez wysoką cenę — stała się szerszym kołom niedostępna w tym właśnie momencie, kiedy po krótkim okresie olśnienia technikami mechanicznego reprodukowania dzieł sztuki, przyszedł przesyt, przyszło w społeczeństwie zrozumienie, że jednak co oryginalny drzeworyt, wykonany ręką artysty i przez niego przysposobiony do powielania, to nie marna, niechlujna odbitka z cynkowni.

Dołączają się do tego i względy praktyczne. Drzeworyt, wykonany na bukszpanowym klocku, może dać znacznie większą ilość dobrych odbitek, niż klisza cynkowa. Opowiadał mi niedawno Stanisław Ostoja - Chrostowski, że dziesięciotysięczna odbitka exlibrisu Bibljoteki Narodowej, wykonanego przez niego w drzeworycie, niczem nie różniła się od pierwszej odbitki, oglądana szczegółowo pod lupą. Oto przyczyna, dla której Sowiety, przy olbrzymich nakładach książek, używają obecnie do ilustracyj przedewszystkiem drzeworytów. Drzeworyty bowiem znacznie lepiej nadają się do masowej produkcji odbitek.

Z chwilą, kiedy subskrypcje na łamach pism spopularyzowały drzeworyt, z chwilą kiedy dzięki tym subskrypcjom sprzedaż drzeworytów idzie już w setki odbitek, pierwszy krok do przywrócenia drzeworytowi dawnego stanowiska w masowej produkcji został już zrobiony. Nic tego procesu nie zdoła powstrzymać. Jesteśmy na drodze do wypierania przez drzeworyt rozpowszechnionych ostatnio technik mechanicznych.

Przychodzi ten przewrót w czasie, kiedy grafika polska jest nań artystycznie przygotowana, jak dawno już nie była. Szkoła Skoczylasa zrobiła swoje. Przeżywamy okres renesansu artystycznego drzeworytu. Grafika polska zajmuje w świecie jedną z czołowych pozycyj. Mamy pierwszorzędnych artystów, świadomych techniki drzeworytniczej i rozmiłowanych w niej, którzy potrafią sprostać rosnącym potrzebom. Oby sobie tylko w porę zdali sprawę z nowej sytuacji, oby umieli się do niej dostosować, oby zwalczyli w sobie resztki psychiki arystokratyzmu graficznego (wyrażającego się przedewszystkiem w nieaktualnem już przekonaniu, że wartość artysty mierzy się wysokością ceny, ustalonej przez niego za swój utwór graficzny)...

Grafika staje się sztuką demokratyczną, jaką jest i powinna być z samego swego założenia. Niskie (ale jeszcze za wysokie ceny, ustalone w akcjach subskrypcyjnych, stały się już cenami rynkowemi. W miarę ich dalszego obniżania — rozszerzać się będzie rynek zbytu. Subskrypcje odegrały podwójną rolę: spopularyzowania drzeworytu i ułatwienia nawiązania kontaktu między grafikami a odbiorcami. Dotychczas drogę do grafików znali tylko kolekcjonerzy. Subskrypcje wskazały tę drogę szerokim kołom publiczności. Ale z natury rzeczy subskrypcje w dziennikach są akcjami doraźnemi. Szeroki zbyt grafiki artystycznej wtedy będzie dopiero możliwy, kiedy drzeworyt polskiego artysty nabyć będzie można w każdej księgarni, w każdym handlu przyborów piśmiennych, jak można obecnie nabywać reprodukcje mechaniczne.

Subskrypcje wykazały, że istnieją dla rozpowszechnienia grafiki możliwości olbrzymie. Trzeba tylko umieć je wyzyskać, trzeba rzecz zorganizować. A wtedy stanie się drzeworyt w Polsce tem, czem jest w Japonji: artykułem powszechnej potrzeby.

Szczęśliwa inicjatywa pierwszej subskrypcji na drzeworyty, jaka się wykluła na łamach ABC, jest przedmiotem naszej dumy, ale też nakłada obowiązki. Toteż sprawom grafiki i organizacji jej zbytu baczną będziemy poświęcać uwagę i dalszemi projektami w tej dziedzinie podzielimy się niebawem z czytelnikami.

Wojciech Wasiutyński

Z duchem czasu

Sapiens, oeconomicus i peccatus

Posłuchajcie historyjki o człowieku przeciętnym. Nazwijmy go Adamem z Kądbądź i uwierzymy, że żył gdzieś w czternastym wieku. Nie był ani zbyt zły, ani zbyt dobry, ani zbyt mądry, ani zbyt głupi, ani zbyt lekkomyślny, ani zbyt przezorny, ani zbyt bogaty, ani zbyt biedny.

Adam z Kądbądź bywał czasem w kłopotach finansowych. Co miał zrobić? Odpowiecie: oczywiście pożyczyć! To nie było takie proste. Pożyczyć drobną stosunkowo sumę bezprocentowo od sąsiada bogatszego, czy kupca z sąsiedniego miasta nie było trudno. Ale były to pożyczki niewielkie i krótkoterminowe. Jeżeli Adam znalazł chętnego, to szedł z nim do sekretarza sądu i rezultatem była taka powiedzmy zapiska:

„St. nota, quod Adam de Conthbanthz debet solvere dno Ade de Conthinnonth dimdium marcam grossorum ante festum Penthecostes wulgariter dosswyanthek".

Ale jeżeli Adam był biedny i niechciano mu pożyczyć, albo jeżeli chciał naraz mieć dużo pieniędzy, to co? Wówczas popełniał ciężką lekkomyślność i szedł pożyczyć u żyda. Ale to było trudne. Lichwiarze mieszkali w wielkich miastach, a lichwiarzem był każdy, kto pożyczał na procent, to jest w sposób zakazany i niemoralny. Do lichwiarza było daleko, ale pozatem lichwiarz, wiedząc, jak trudno egzekwować, bo sądy nieprzychylnie patrzą na „debita apud iudaeos", pożyczał nie każdemu. Jeżeli zaś pożyczał, to na wysoki procent.

Toteż Adam z Kądbądź miał mało widoków na kredyt, był skrępowany w pożyczaniu. Ale nie odczuwał tego tak przykro, jak ty, drogi czytelniku. Był bowiem równie skrępowany w wydawaniu. Jeżeli średniowieczna moralność, prawo, zwyczaj i władza zwalczały kredyt, to [illegible]czały również i nadmierną konsumcję. W tym celu wydawano „Leges sumptuariae". Taka lex określała, jakich szat nosić np. niewolno (kosztownych, zagranicznych), jakich zabaw urządzać, jakiemi pojazdami jeździć i t. d. Skąd też jeżeli Adamowa żona chciała pędzić wystawny tryb życia, to było to nadzwyczaj trudne. Albo, jeżeli Adam chciał mieć kochankę, lub kochanki (a nie należy sobie wyobrażać, wzorem tak licznych dziś, zakochanych w średniowieczu i zupełnie go nieznających, idealistycznych panienek i chłopców, by ludzie byli wówczas wiele od nas moralniejsi), to nie mógł się na nie zrujnować. Było to w tej epoce „nieprzyjęte".

Adam z Kądbądź nie wiedział, że człowiek jest w sensie przyrodniczym zwierzęciem [illegible] — homo sapiens. Nie wiedział również, że jest istotą gospodarczą — homo economicus. Wiedział natomiast, że jest istotą grzeszną — homo peccatus. Dlatego uważał i ograniczenia kredytowe i konsumcyjne za zupełnie naturalne i uzasadnione.

Adam z Kądbądź umarł już bardzo dawno temu i zostawił spadkobiercom mienie niezbyt powiększone, ale nieuszczuplone. Pozostawił natomiast liczne potomstwo „quod vulgariter przypłod alias wnęki". Jeden z tych prawnuków, Adam Kądbąski, żył — umieśćmy go w sercu epoki kapitalistycznej — w czasach, kiedy w Londynie napisane zostało najwspanialsze dzieło-pomnik epoki kapitalizmu — „kapitał" Marxa.

Adam Kądbąski miał stosunkowo większy majątek od Adama z Kądbądź i niestosunkowo większy kredyt, oraz niestosunkowo większe wydatki. Obracał dużemi sumami, przeważnie wypisanemi własnoręcznie na wekslach, czekach i obligach. Miał „swój" czcigodny bank i kochankę, której wybudował willę w stylu gotyckim z karjatydami u wejścia i sfinksem w ogródku. Kupował dużo, bo go zmuszano — reklamą. Dzięki reklamie palił hawańskie cygara, miał wieczne pióro, był ubezpieczony na życie, kupował wiele powieści rocznie i prenumerował kilka pism, miał centralne ogrzewanie, abonament w operze, pijał cejlońską herbatę, szampana i Curaçao, kupował najnowsze powozy i najnowsze kapelusze oraz tysiąc innych rzeczy, nie z potrzeby, ale z obowiązku człowieka „postępowego".

Jego syn w r. 1932 zbankrutował i powiesił się (pieniędzy na rewolwer ani truciznę nie miał).

Dlaczego?

Dlatego, że kredyt oprocentowany jest trucizną, która musi zabić każde gospodarstwo.

Wygląda to napozór — dla współczesnego człowieka — nonsensownie, ale jest prawdą, zatuszowaną przez reklamę ekonomiczną. Podam na dowód sensacyjne obliczenia, którego dokonał w „Przeglądzie Powszechnym" przed rokiem p. Jan Wortman.

„Aby się przekonać — pisze on — czy jakakolwiek zasada, którą w życiu stosujemy, jest racjonalna lub błędna, to znaczy zgodna z układem naturalnym, lub sztuczna, należy przyjrzeć się jej przez szkło powiększające". I bierze pod szkło kredyt oprocentowany:

Ktoś w dniu koronacji Chrobrego złożył 1 złoty obecnej wartości na 6 procent rocznie. Obecnie złotówka ta z procentami wynosiłaby (Uwaga!)

665.901.354.473.290.995.712

złotych, mówiąc przystępniej 666 **kwintyljonów** złotych. Gdyby każdy z ludzi żyjących w Polsce od Chrobrego do dziś (licząc bardzo obficie — 640 miljonów ludzi) zarobił w ciągu życia pracą wytwórczą nieprawdopodobną sumę miljona złotych, to i tak ogólny majątek złożony przez tych wszystkich ludzi wyniósłby tylko 640 **tryljonów** złotych, czyli byłby **miljon** razy mniejszy od procentu z jednej jedynej złotówki.

Taka jest zasada kredytu procentowego.

„Bankructwo wytwórczości jest nieuniknione — konkluduje autor obliczenia — jeśli kredyt wyciąga z niej zyski większe, niż ona przynosi.

Wprawdzie zjawisko to nie sprawdza się przy ograniczeniu czasu i pola obserwacji, ale przychodzi moment, w którym wybucha nagle, ponieważ z wzrostem czasu i pola rozwija się ono w stosunku geometrycznym".

Oto spogląda na nas z tamtego świata Adam z Kądbądź i mówi: — Myśmy nie mówili, że jesteśmy mądrzy i ekonomiczni, mówiliśmy, że jesteśmy grzeszni. Rezultaty pokazały, że właśnie postępowaliśmy mądrze i ekonomicznie. Wyście mówili, że człowiek jest mądry i ekonomiczny. Okazało się, że jest grzeszny. Pycha, lenistwo i zazdrość stworzyły kredyt oprocentowany. Pycha, nieczystość, łakomstwo — reklamę. Nawróćcie do leges sumptuariae i do zakazu procentu, quod wulgariter na pocuthe.

Tydzień książki

WEDŁUG DANYCH ZJEDNOCZONYCH ORGANIZACYJ KSIĘGARSKICH

BAUMAN ST. dr.: Wykład procedury karnej w zarysie. 8° str. VII i 257. Lwów 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 6.80.

BURDECKI F. dr.: Życie maszyn, z 21 ryc. 8° str. 252. Lwów 1934. Książnica - Atlas. Zł. 4.40.

CHODAK E.: Dzieci na wsi z 13 obraz. S. Norblina. 8° str. 24. Warszawa 1934. M. Arct. Zł. 1.50.

CHODAK E.: Jak to bywa w szkole, z 13 obraz. S. Norblina. 8° str. 24. Warszawa 1934. M. Arct. Zł. 1.50.

CHODAK E.: W zimie, z 14 obraz. S. Norblina. 8° str. 24. Warszawa 1934. M. Arct. Zł. 1.50.

EJSMOND J.: Stół i nożyce. Zbiór bajek. Wydanie pośmiertne z przedmową prof. J. Ujejskiego. 8° str. 304. Warszawa 1935. Dom Książki Polskiej. Zł. 6.—.

ERENBURG ILJA: Dzień wtóry. Powieść. Przełożył A. Wot. 8° str. 308. Warszawa 1935. Rój. Zł. 7.—.

FOLKIERSKI WŁ.: Od Chateaubrianda do Anhellego. Rzecz o związkach między przedmistycznym okresem Słowackiego a romantyzmem francuskim. 8° str. 162. Kraków 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 5.—.

GĄSIOROWSKI W.: Ach, te „chamy" w Ameryce. 8° str. 225. Warszawa 1935. Dom Książki Polskiej. Zł. 6.—.

GREY ZANE: Krwawe pogranicze, z ang. przełożyła J. Sujkowska. 8° str. 295. Warszawa 1935. M. Arct. Zł. 4.50.

HAWKS E. F. R.: Dziwy przyrody, z 38 rys. oraz 109 ilustr. na 48 tablicach. Przełożył dr. F. Rutkowski. 8° str. VIII i 242. Warszawa 1934. Trzaska, Ewert i Michalski. Zł. 12.—.

HOFFMANN O.: Wulkanizacja. Niezbędny podręcznik dla szkół zawodowych. 8° str. 55 z 26 rys. Łódź 1935. Dom Książki Polskiej. Zł. 3.50.

KRAWCZYK MARJAN: Ćwiczę i wychowuje. Podręcznik ćwiczeń cielesnych dla nauczyciela szkoły powsz. 8° str. 282 z 29 rys. Lwów 1934. Zakład Narodowy im. Ossolińskich. Zł. 2.90.

KOSSAK Z.: Beatum scelus. 8° str. 195. Warszawa 1935. Rój. Zł. 2.

LIEBERT JERZY: Poezje. Z portretem autora. 8° str. VIII i 247, V. Warszawa 1934. F. Hösick. Zł. 7.—.

LANDAU R.: Paderewski, z 15 ilustr. Przeł. z ang. J. B. Rychlewski. 8° str. 377. Warszawa 1935. J. Przeworski. Zł. 15.—, w opr. 18.—.

LUTOSŁAWSKA I.: Małżeństwo Zazy. Powieść. 8° str. X i 378. Poznań 1934. Księgarnia Św. Wojciecha. Zł. 5.50.

MAKOWSKI J. dr. prof.: Umowy międzynarodowe Polski 1919—1934. 8° str. 368. Warszawa 1935. Gebethner i Wolff. Zł. 15.—.

MASZEWSKA-KNAPPE J.: Czy wolno nam zjadać zwierzęta? 8° str. 15. Warszawa 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 1.—.

MAZUR A.: Ćwiczenia z zakresu geometrji w nowym programie. 8° str. 97. Warszawa 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 1.90.

MEADE L. T.: Dziewczę zza oceanu. Powieść dla młodzieży. Przekł. S. Heymanowej z ilustr. K. Förstera. 8° str. 283. Kraków 1935. Księgarnia Powszechna. Kart. zł. 4.—.

MEISNERÓWNA ZOFJA: Marynarze z „Delfina". 8° str. 283. Kraków 1935. Księgarnia Powszechna. Kart. zł. 4.—.

METALLMAN JOACHIM: Determinizm nauk przyrodniczych. 8° str. XIV i 424. Kraków 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 10.—.

MEZGER M.: Monika jedzie na Madagaskar. Powieść dla młodzieży z ilustr. Przekład Z. Schechtelówny. 8° str. 270. Poznań 1934. Księgarnia Św. Wojciecha. Kart. zł. 4.50.

MIŁASZEWSKA WANDA: Dusza domu. Imiennik. 8° str. IX i 219. Poznań 1934. Księgarnia Św. Wojciecha. Zł. 3.50.

MIZERSKI M.: Gospodarstwo karpiowe. Hodowla karpia i zakładanie stawów. Wyd. 2-gie przerobione, z 104 ryc. z XIII tabelami. 8° str. 327. Warszawa 1935. Księgarnia Rolnicza. Zł. 8.50.

NOWACZYK ST.: Przewodnik metodyczny do „Opowiadań z dziejów ojczystych dla V kl. szkół powszechnych Wł. Jarosza. 8° str. 115. Lwów 1934. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Lwów. Zł. 1.50.

Nowe przepisy o dozorcach domów w m. st. Warszawie. Orzeczenie nadzwyczajnej komisji rozjemczej z dn. 27 września 1934 w Warszawie w opracowaniu **DR. M. KORNREICHA.** 8° str. 16. Warszawa 1935. Księgarnia Prawnicza. Zł. 1.—.

NOYSZEWSKI PIOŁUN ST.: Browerie. 8° str. 247. Warszawa 1935. Gebethner i Wolff. Zł. 2.80.

Ordynacja podatkowa. Ustawa z dn. 15 marca 1934. wraz z rozporządzeniem wykonawczem Min. Skarbu z dn. 19 września 1934. O wykonaniu Ordynacji podatkowej. 8° str 239. Poznań 1934. Wł. Wilak. Zł. 2.50.

Ordynacja ubezpieczeniowa z dn. 19 lipca 1911 i Ustawa o ubezpieczeniu pracowników umysłowych z dn. 20.XII.1911. **dr. J. BAUMGARTEN i ST. SASORSKI.** 8° str. XII i 1215. Poznań 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 12.—.

Protokuły mędrców Syonu. 8° str. 79. Wilno 1934. Księg. Św. Wojciecha. Zł. 1.—.

Przepisy o kosztach sądowych. Komentarz szczegółowy opracował **dr. F. JAGLARZ.** 8° str. 65. Poznań 1934. Księg. Św. Wojciecha. Zł. 2.—.

Przepisy o księgach handlowych i bilansach wraz z objaśnieniami i orzecznictwem, opracował **J. WITKOWSKI.** 16° str. 180. Warszawa 1935. Księgarn. Prawnicza. Zł. 3.60.

PANNENKOWA IRENA: Więzy. Powieść. 8° str. 299. Poznań 1934. Księgarnia Św. Wojciecha. Zł. 4.50.

PASSENDERFER E. DR.: Jak powstały Tatry, z 40 ryc. w tekście i 12 tablic. 8° str. 118. Lwów 1934. Książnica - Atlas. Zł. 2.90.

PITKIN W. B. prof.: Życie zaczyna się po czterdziestce. Przełożyła z ang. P. Lamowa. 8° str. 166. Warszawa 1934. Trzaska, Ewert i Michalski. Zł. 6.—.

PIWOWARCZYK MIECZYSŁ.: Zajęcia praktyczne z zakresu rękodzieła. Organizacja zajęć rękodzielniczych w kl. III—IV szkoły powsz., z 14 rys. 8° str. 94. Warszawa 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 1.90.

RADŁO J.: Nauka narciarstwa. Zwięzły podręcznik jazdy na nartach, z 21 rys. 8° str. 102. Lwów 1934. S. Malinowski. Zł. 2.70.

RAYMOND B.: Ucieczka przez błękit nieba. Dzieje miłości w 3 aktach. 8° str. 124. Łódź 1935. Dom Książki Polskiej. Zł. 3.20.

REGULA J. A.: Historja komunistycznej partji Polski w świetle faktów i dokumentów. Wyd. 2-gie rozszerzone. 8° str. 343. Warszawa 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 4.60.

ROMAŃSKI M.: Małżeństwo Neili Forster. Powieść. 8° str. 227. Warszawa 1935. S. Cukrowski. Zł. 6.—.

RÓŻYCKI F., KOLENDZA R. i PASZKOWSKI T.: Bielany pod Warszawą. Przewodnik dla wycieczek geograficzno - przyrodniczych, z 16 ilustr. 8° str. 55. Lwów 1934. Książnica - Atlas. Zł. 1.80.

REUTTÓWNA MARJA: Maryjka. Powieść. 8° str. 231. Poznań 1934. Księgarnia Św. Wojciecha. Zł. 2.50.

SINCLAIR U.: Pielgrzymka miłości. Przeł. Antonina Sokolicz. 8° str. 286. Warszawa 1935. Rój. Zł. 7.—.

STEFANOWSKI B. S.: Brydż racjonalny. Wykład dla początkujących. 8° str. 190. Warszawa 1935. M. Arct. Zł. 4.50, w opr. 6.—.

Wincenty Burek

Rozstajne drogi

Żatańcował wiater na wysoczyźnie i żywo się rozbrykał, chociaż go się na ziemi nie dało poczuć. Na ziemi spoczęła nocna cisza, a na podniebiu wiater gnał przed sobą stadzinę chmur, szarpał pierzastą treść i coraz napędzał nowe płamety, żeby sunęły i pomykały popod srebrną blachą miesiąca. Miesiąc wyglądał co i raz zza postrzępionej zasłony, i wtedy mocniej bielił się świat, a cienie drzew, wąwozów i chałup w podokolach ostrzej się wyraźniły na popielatej ziemi. Światło miesiąca mżyło spokojem i cichością niezamąconą.

Wieś już spała. Śniły chałupy w pokrowcu smutnych blasków, drzewa stróżowały w zadumanem milczeniu, wszędzie naokół przestrzeniła się martwota. Pod wtór trupiemu światłu, pod takt miesiącowi.

Miesiąc wylazł na połowę swojej drożyny i wtedy jakby coś wdole uwidział, bo sypnął znagła blaskiem, żeby se widać przyświecić i rozeznać uważnie ten kształt, co się skądsić wylągł i zaczął posuwać się po pylnej drodze zawraz z cieniem. Wrychle przepadł niebieski gap za chmurami, a ludzki kształt i jego cień ożywiły się dziwnie i żwawo sunęły dnem wąwozu, którędy się kręciła polna drożyna. Co jakiś czas przystawał człowiek i przystawał cień. Człowiek zdawał się wyławiać słuchem jakieś tajemnice, a cień rozpłaszczał się na ziemi, przywierał się czujnie i niby i on się też wsłuchiwał w to coś, tak dla obu ważne w tej godzinie. I znowu szli obaj, szybko szli, ażeby w jakiejś chwili przystanąć i nasłuchiwać. Aż doszli do tego miejsca, gdzie drogi za Ocinkiem przecinają się na krzyż — w cztery strony świata.

— Rozstajne drogi... — zaszeptał człowiek. Opodal skrzyżowania garbił się pagórek, nakryty kosmatemi witkami dzikich róż i ostrężyny. Ku niemu zbliżył się powoli nocny podróżnik, jeszcze raz wsłuchał się w cichość, bacznie się rozejrzał wokoło i chyba te przepatry wypadły mu po myśli, bo długo mamrotał w cieniach:

— Nikt mnie nie widzioł. Oj, to dobrze, że mnie nikt nie widzioł.

Położył się na zwilgłej trawie i oczami poszedł — tam. Tam niedaleko, z doliny na podrzeczu wyglądała wieś. Wkopane w rodną glinkę, siedziały te same zabudynki, takie same jak kiedy się z niemi śratał przed wielu laty na odchodnem w daleki świat. Może ino drzewa pozmieniały wygląd — te się gdzieś zapodziały, insze urosły naschwał. Wszystko jest na swojem miejscu, laboga, wszystko, za czem tęsknił i marzył, rozkłada się oto przed oczami i ciągnie do siebie, żeby tam iść cożywo, napatrzeć się, z ludźmi się witać, rozgadywać, i żyć z nimi pospólnie aż do wymierzonej godziny. W omgleniu miesiąca wieś wydawała z siebie słodycz spokoju, zacisza, dosytnej przystani na cały żywot. Można siła szła z niej i rwała do siebie gwałtem, że ani się oprzeć.

— I jak tam iść? Jak się tam pokazać? — supłały się bolące myśli z chęciami namolnemi, żeby wstawać spod krzewiny i iść do wsi. — Cy jo mom prawo być tam? Jo, syn gospodarski, a teroz dziod ostatni! Nie hunur, nie hunur. Nie takim mnie widziały te rozstajne drogi!...

Miesiąc przechylił się ku spoczynkowi i spoglądał teraz zezem na rozciągniętą na pagórku człowieczą figurę. Dziwił się pewnie, czemu ten człek nie idzie spać do chałupy, a ino tak leży w nadrannym« zamrozie jesieni, i że chyba jest mu zimno w bose nogi, i pewnie ciepła nie czuje w tych łachach i dziurach, co go ledwieco oblekają. I znowuż otulił się miesiąc w jasną kapotę chmur, zmącił światło i przygasił — i z tego omroku nadleciały do podróżnika wspomnienia. Wspominki tłamszone długo, a teraz odżyłe, ostre i wyraźne, jakby to było wczoraj, a nie tak już dawno, wtedy, o tutaj, na rozstajnych drogach...

...Hurma dziewczyc i chłopaków odprowadza go z muzyką do rozstajnych dróg. Tyle śmiechu i wesołości! Choć żal za wsią i swojakami, ale niechta, przecie się jedzie po lepszy los, ażeby tu wkiej ano wrócić z dużym zachyłkiem i zapocząć gospodarski żywot. Za drugimi, za ojcami. Skoro mu już tak wypadło z nadziału, że nie ziemię dostał po ojcach, ale spłatę od siostry, i niedużą. To potrza ją pomnożyć we świecie i wrócić, duśnie wrócić, nakupić mórg i brać Paolkę przed ołtarz, bo mu dziewczyna rada jest i poczekać święcie obiecuje. Muzyka rżnie śratalnego marsza, chłopaki pokrzykują, coraz ktoś wyrzuci dobre słowo, Paolka ma zaszklone oczy — i wreszcie tutaj, na rozstaju, prędkie pożegnanie z gromadą i gromki krzyk na odjezdnem:

— Jedź z Bogiem, Józek!

— Sceść ci, Boże!

— A wracojze rychło!

Wielki jest ten świat i przepełniony złem. Już tam świat jemu rajem się nie roztworzył — o, co nie, to nie. Józek nadchybnął się w kopalni i trza mu było kawęczyć w szpitalu długie czasy. Zmieniał zatrudnienia — i co insze, to podlejsze. Naszła na niego taka pora, że tułał się jak pies, bo papiery mu strzymali, a we świecie bez papierów ani rusz i nikt cię nie przyjmie do roboty, choćbyś patrzał aniołem i wyglądał na takiego zucha, coby i djabła za rogi z piekieł wysiepnął. To i skończyło się z nim tak, jak się musiało skończyć. Wywalili za granicę, i idźże se, człeku, gdzie twoja wola.

Goniły się lata jak w kołowrocie, lata coraz cięższe, pełne różnych niedoli po całutkiej ziemi. Józek już dawno pośratał się z nadziejami, że wyjdzie naswoje i powróci dodom, żeby plany majstrować. Moiściewy! Nieraz nawet pianki w gębie nie miał, ani gdzie głowy złożyć. I zdrowia zabrakło, siły się rozprószyły w zatytłanej doli. Do swoich pisać nie pisał. Naco się to zda!

I przyszło na to Józkowi, synowi ocińskich kmieci, temu parobczakowi kiedyś i zuchowi nad zuchy, że torbę dziadowską musiał na ramię zawiesić i skamlać o wspomożenie. Zbył się twardej honorności i ambitu, co go tyli czas podpierały, odsunął od siebie wstyd i on, potomek osiadłych pokoleń, zamianował się na ich hańbę cesarzem dróg i gościńców. Gorzka ta godność, paskudne te zaszczyty.

— Zeby sie choć ze swojokiem nie spotkać. Jak jobym mu w ocy pojrzoł — przewijało mu się po myślach śród wędrowania. Toteż starownie omijał znajome strony, chociaż aż go paliło, żeby kogo nadybać, coby rozpowiedział — jak tam i co tam w kochanem zakąciu. Czy ci najmilsi dla serca żyją aby, co też na wsi nowego i odmiennego. Dużo chciałby się nawywiadywać, ale jakże można tak tę rzecz uładzić, żeby słuch o nim nie rozeszedł się po wsi? Żo zszedł na dziady, w prośbiane dziadki?! Za nic nie chciałby, żeby o tem wiedzieli. Niech myślą, że zaginął naszczęt, ale niech nie wiedzą o nowym jego fachu!

Tęskno w duszy, coraz tęskniej i gorzej. Ciężko zgnieść w sobie uparte chęci, co aż mdlą, żeby tam jednakowoż zajść, nie do ludzi, wcale nie, ale na tamte pola, drogi. Wieś obaczyć. Wieś...

Poszedł do niej z walnej skądś oddali. Szedł kryjomo zdala od ludzi i po nocy, kiedy już wstąpił w strony, gdzie mogli go poznać. Przemykał się ścieżkami, niczem ścigany złodziejec. Paliła go ogrązka i gnała co tchu. I nareszcie wyszła mu naprzeciw rodzinna ziemia, opasana polnemi drogami, które wszystkie podążają do tamtego skupiska podokoli, drzew i sadów, ażeby się rozlać w jedną ino drogę — drogę przez wieś. Ile sił w nogach pogoniłby ku tej drodze, ale pamięć nie ustawa i coraz napomina, żeby przystanąć w świetle miesiąca, słuchać i patrzeć, czy kto nie idzie i go nie widzi. Czuwać trza, choć oczy cieszą się i tą wierzbą, i tamtym zakrętkiem drogi, wysoką miedzą na przydrożu i sznurem zabudynków w cieniach drzew. Nie czuje zimna, po ciele chodzi gorąc i grzeje jak kiedyś w tańcu. Co i raz przybliża się wieś w upływie szybkich kroków, i oto wyjawia się oczom krzyżak dróg — rozstajne drogi. Józek szeptem się wita z niemi i ze wspomnieniem, co do nich przylgnęło. Stąd, z pagórka u rozstaju będzie se popatrywał na swoją wieś...

— Nic sie nie odmieniło. Taksamo tam, jak wtedy... — przywtarzał bezgłośnie spoglądowi w ową stronę. Obejrzał akuratnie każdy pobudynek, przeszedł się oczami wpodłuż wsi, i znowuż zaczynał odnowa, ażeby niczego nie ominąć. Mała gdzieś odmiana zastanawiała długo i korciła domysły. — Cemuto nima brzezicy na zogorzu pod Kodrotem? Naco ją ścieli? O, przecie u Partyki była strzecha na chliwach, a teroz bieli sie dachówka. Widać dobrze mu leci...

Blady miesiąc długo jeszcze poświecał patrzeniu, jakby chciał miłosiernie dopomóc Józkowi w lepszym rozglądzie po wsioskich zakąciach. I wiater górą przestał ganiać, i chmurki gdzieś popolatywały. Zimna jasność przestrzeniła się bez przeszkody, aż do pory, kiedy na wschodzie niebo się podróżowiło i jęło się nasilać od skrytej za górami słonecznej świetłości. Miesiąc gasł pocichu.

— Trza mi juz odyjść — wyrzekł Józek ściszonym głosem. — Dnia ino patrzyć, i jesce mnie kto obocy. Koguty pieją na dzień, trza iść!

Podniósł się z murawy i wtedy znagła poczuł, że mu siły brakuje do chodu. Gnaty odrętwiały w zimnie jesiennego zarania i za nic nie chcą się rozruszać. Stąpnął krokiem i zadziwił się, czemu nogi nie odklejają się od ziemi i są takie oporne, jak z drzewa. Z trudem zsunął jedną nogę po pochyliźnie — i stanął w znieruchomieniu.

Wskroś ostrego piania kogutów słychać wyraźnie szczekanie psa. Nie ujadanie natarczywe i złe, ale żałosny, przeciągły skowyt. Jakgdyby prosił się o coś pies, czy kogoś wołał tem skuczeniem. Jeden raz, drugi, a popóźniej jednym tchem wyleciały zoddali psie skowyty i rozniosły się w okolu, dobitnie i dzwonnie.

— Wiernuś! Nie przepomnioieś o mnie!

Odleciało odrętwienie, nadpłynęły siły, i chłop stoczył się z pagórza, jakby go coś styłu pchnęło. Wielkiemi susami zaczął pędzić od rozstajnych dróg w stronę wsi. Skręcił naprzełaj ku zagrodzie siostry, gnał naoślep, na nic już nie pytając. W obrębie siostrzynego podokola jęczał skowyt i nie ustawał.

— Wiernuś! Wiernuś!

Nikiej kosmate czapy na czole ziemi sterczą przed Józkiem te znajome pobudynki. Zgrzybiałe i wrośnięte w caliznę, przypominają dawne lata, wszystkie czasy, które tu przeżył z ojcami. Józek mało co ogarnął spojrzeniem rodzinne podokole, pilno mu do wrótni, bo poza niemi ciska się pies, skomli. Poznał go pies, napewno poznał. Pies wsadza łeb w otwór pod deskami, jakby chciał wyrwać się na drogę do dawnego gospodarza, co przyszedł nakoniec po długiej rozłące. Stary, wyleniały pies odmłodniał odrazu w radosnych podrygach.

— Psisko! Poznołeś mnie, nie zabocyłeś przez te lata? — pogaduje Józek do zwierzaka, kuca na ziemi i wyciąga rękę popod wyrwę we wrótni, żeby pogłaskać zrudziały łeb Wiernusia. Pies przypadł do ręki i liznął ją gorącym jęzorem. Przyćmione ślepia wpiły się uparcie w przykucniętą postać. Wierność, radość, dzika, zwierzęca radość brzmiała krótkiem skomleniem. Człowiek i pies weselili się pospólnie w blasku świtania.

Raptem trzasnęły drzwi sieni od obory i rozległy się wpobliżu czyjeś kroki. Józek zauważył przez szpary we wrótniach, że ktoś się zbliża w jego stronę. Obrócił się do ucieczki.

— Kto tam? — warknął ostry głos zza furtki, szczęknęła klamka i goła głowa chłopa wysunęła się ciekawie. Józek odrazu poznał ten głos. Znajomy głos osadził Józka na miejscu i wykręcił mu głowę w swoją stronę. Tak, przecież to Walek, stary kolega i szwagier teraźniejszy, siedzi na tem miejscu po ojcach. Przecież Walek z jego siostrą się ożenił i tu gospodarzy. Jakże można od Walka uciekać.

— Cego tu łazis, włoku! — grzmią od furtki rozzłoszczone słowa. Józek postąpił parę kroków w ich stronę, cały w porywie uciechy, że oto szwagier przed nim i stary druh. Nawet nie zrozumiał, że szorstkie słowa Walka nie pieszczą powitaniem, że nie słychać w nich zadziwienia z nagłego spotkania. Zbliżył się do Walka.

— Waluś, to ty mnie nie poznajes?

Chłop w furtce widać se coś przypominał. Stał z japą otwartą i wybałuszał oczy na oberwańca. Patrzył się i patrzył i po chwili zawołał niepewnym głosem:

— Nie, to cheba cary. Toś ty Józek, prawdziwy Józek?

I przelękły zjawą nieszczęsnego gościa, nie ruszał się od proga. O pewnym czasie odwrócił się i raptownie pobiegł ku sieni i zaczął wrzeszczeć w niebogłosy:

— Franka! Franka!...

Józek oparł się o pagroty i ciężko dychał. Palący wstyd dusił go dożywego, że nawet nie dojrzał, jak tam jest za furtką na tej oborze, tyle przecież bliskiej sercu. Nie dostrzegł i tego, że kręci się przy nim pies, że skika mu na piersi i skauczy radośnie. I nie zauważył, kiedy przed nim stanęła siostra, a spoza niej wyjrzał Walek. Józek zastygł na miejscu z opuszczoną głową. Oczu podnieść nie pośmiał. O hańbo niezmyta!

— Oj, oj, oj!... — doleciały go wydziwiania siostry. Siostra nie zarzuca mu rąk na szyję, nie wita ciepłym uściskiem. Darmo czekać, — żeby się na to zdobyła. Siostra się nim brzydzi jak parszywcem, gardzi bratem w łachmanach, nie witać się z nim wyszła, ale wydziwiać:

— Ej, ty lichmonie, dziadygo! Zdychać do mnie przylozłeś? Jo mom dziecka, jo muse pracować, a nie lenić sie jak ty!...

Siostra inaczejby zagadała, gdyby nadszedł w pańskiej formie i z nabitym trzosem. Nie byłoby końca witaniom i przymilnościom. A tak:

— Nic nom po tobie, włogawce. Nima chleba zadarmo.

— Przysedłem popatrzyć, i juz ide — wyszemrał cichutko.

— Popatrzyć przysedł, widzicie go — przedrzeźniała. — Wstydu przysedł narobić, i tyle. Umykoj, zeby cie tu kto nie widzioł!...

Józek zawrócił ku drodze. Poczuł się, jakgdyby go kto wyprał niemiłosiernie, niewiadomo o co. Żal w nim wykwitł z przyczyny krzywdy, której ani się tu spodział. Też go przywitali po tylu latach!

Wstawał dzień w płomieniach czerwieni, kiedy Józek znowu się znalazł u rozstajnych dróg. Nie był sam. Obok niego podskakiwał pies — jedyny przyjaciel. Józek nachylał się coraz ku niemu, gładził rzadką sierść i mamrotał pieszczotliwym głosem:

— Dobre psisko, kochane psisko. Un jeden mnie odprowodzo.

Rozstajne drogi pozawsiu wyciągały się we świat. Z tego krzyżaka dróg poszedł Józek spojrzeniem ku wsi tam wdole, wchłonął w siebie rodzime widoki, dosyta się napatrzył, nacieszył, i naraz zakrzyknął przeraźliwie:

— Do domu, pies! Do domu!...

Pies szczeknął żałośnie i wybiegł na pagórek u rozstaja. Przysiadł na ziemi, przekrzywił łeb na bok i smutnemi ślepiami odprowadzał Józka, dopókąd chłop się nie schował za odległym zagórzem. Długo jeszcze go wypatrywał, i było duże słonko na niebie, kiedy zwlókł się z pagórka i chwiejnym, starczym krokiem podyrdał do swoich obrębów.

Jan Korolec

Drogi rozwoju literatury pięknej

Niedawno starałem się zaznajomić naszych czytelników z całkowicie negatywnym stosunkiem, jaki zajmują współcześni przedstawiciele francuskiej młodej sztuki wobec dzisiejszego świata kapitalistycznego. Dziś zaś chciałoby się oświetlić próby ich ustalenia pewnych zasad działania w zakresie literatury pięknej, w oparciu na gruntownej krytyce dotychczasowych stosunków i rezultatów.

KONIEC LITERATURY BURŻUAZYJNEJ

W literaturze burżuazyjnej zrodzonej z romantyzmu — pisze Denis de Rougemont w numerze 25 czasopisma „Esprit" — rozróżniamy trzy typy pisarzy. Pierwszy typ to ci, którzy opisują życie klas posiadających. Burżuazja lubi tego rodzaju utwory, bo znajduje w nich samych siebie; lud lubi je też, gdyż widzi w nich zrealizowane marzenia własne. Drugi typ: to poeci romantyczni, piewcy ideału, którego nie można osiągnąć, gdyż umieściło się go zbyt wysoko. Czyta się tę literaturę, by uciec od trosk życia codziennego, by uniknąć konieczności rozwiązania dramatu rzeczywistego. Trzeci typ, to ludzie krytykujący jaknajostrzej świat dotychczasowy, ale wyrażający pogląd, że nie da się on zmienić. Ta literatura jest konieczna dla uspokojenia sumienia dla żywiołów młodszych. Ale młodość i anarchja mijają tak, jak różyczka u dzieci, a nic ważnego się nie staje. Literatura dzisiejsza nie wierzy w nic, nie usiłuje nawet wmówić w czytelnika, że w cokolwiek wierzy. Krytyka literacka, pozbawiona wszelkiego kryterjum ogranicza swe działanie do krytyki formy, nie będąc w stanie krytykować istotnej treści.

NOWA LITERATURA

Literatura jest coś warta i może wywierać wpływ, o ile jej dzieła posiadają wspólne kryterjum. Ale dziś wszelkie kryterja wieku ubiegłego są uważane za komunały i jedynym poglądem wspólnym jest uważać je za komunały. Nasi ludzie czynu nie mają innych norm i innej miary, poza pieniądzem, jedynym symbolem bezosobistej anonimowej potęgi. Brak ideałów udaremnia wszelką wielkość, żyjemy więc w świecie miernoty. Takiem konkretnem kryterjum, takim wspólnym punktem wyjścia, taką podstawą wielkości będzie człowiek-twórca, osobowość, który nie znajdując tego kryterjum w sobie, będzie musiał szukać dyktatora. Ci, którzy znajdą to kryterjum, dojdą wkrótce do ładu i kultury, do której dążymy. Nowa literatura będzie dziełem odrodzonego człowieka, świadomego swej swobody. Wszelka twórczość przypuszcza istnienie wolności, gdyż tworzyć to być wolnym. Nowa sztuka to nowa wolność, ale to również nowe posłuszeństwo. Trudno inaczej rozumieć rzeczywistą wolność, niż jako wierne spełnienie powołania osobistego. Wolność staje się synonimem bezwzględnego posłuszeństwa w stosunku do jedynego przyjętego przez siebie celu. Tak pojęta wolność daleka jest od wolności burżuazyjnej, polegającej na braku obowiązków. Daleka jest również od anarchji. Wykonywanie takiej wolności doprowadza do poczucia odpowiedzialności, będącej jedyną podstawą żywej zbiorowości. Pisarz będzie twórcą tylko o tyle, o ile będzie posłuszny swemu osobistemu powołaniu. Twórcą tem bardziej oryginalnym, im większe będzie miał poczucie odpowiedzialności i im bardziej będzie zrośnięty ze społeczeństwem. Jaką będzie literatura, stworzona przez odrodzonego, wolnego człowieka? Byłoby zbyt ryzykowne wygłaszanie tutaj ostatecznie ustalonych poglądów. Zdaje się jednak, że będzie to prawdziwa literatura realistyczna, zestawiająca dzisiejszego człowieka z celami, jakie sobie postawić powinien. Nowa literatura będzie musiała głosić pewne poglądy, będzie musiała szerzyć prawdy, które człowiek będzie w stanie zrozumieć. Dlatego nowa literatura będzie musiała się zdobyć na o wiele głębszą znajomość zarówno życia, jak i wiedzy ludzkiej. Zasadą nowej literatury będzie musiało być odrzucanie zbyt oryginalnych form, będących zawsze objawem społeczeństw rozkładających się. Może te prawdy o nowej literaturze są zbyt banalne. Rewolucja jednak nigdy nie stwarza rzeczywiście nowych prawd, przypomina tylko prawdy zaniedbane.

NOWA POEZJA

Podstawą nowej poezji będzie szczerość i wiara naiwna. Poeta będzie musiał być ludzkim, by działać, jako człowiek. Poezja musi być odzwierciadleniem dnia dzisiejszego, nie może odkładać swego powstania do pomyślniejszych czasów. Poezja nie może działać na zamówienie, lub automatycznie. Dziś przepaść powstała między ludźmi, a jednostką zamknęła się w pokoju własnych marzeń. Poezja będąca oczarowaniem świata, musi powstać z oczarowania twórcy, przebywającego w świecie ludzi, z którymi współżyje. Zadaniem poetów będzie zatem rozszerzyć powstającą zbiorowość na wszystkich ludzi, pogłębiając w ten sposób ich indywidualność. Wartość zaś poezji zależeć będzie od siły sugestywnej, wyjaśniającej niejasną myśl wszystkich. Poezja będzie istnieć, o ile będzie nawiązany związek między poetami, jako wtajemniczonymi, a tymi, którzy pragną zrozumieć przemijające światło słów.

POWRÓT DO CZŁOWIEKA

W streszczonych powyżej poglądach na rozwój literatury, uderza przedewszystkiem głęboka wiara w konieczność oparcia nowej literatury na odrodzonym człowieku, człowieku wolnym, obdarzonym silną i pełną indywidualnością. Oczywiście ten wolny człowiek to nie człowiek, wyrwany z gruntu ojczystego, jak to świetnie określił Barres „deraciné", lecz przeciwnie człowiek bardzo silnie związany z własnem społeczeństwem. W ten sposób przez jednostkę dochodzą przedstawiciele nowej sztuki do społeczeństwa, jako niezbędnego podłoża rozwoju naprawdę wolnych ludzi i zbliżają w ten sposób do nowoczesnego nacjonalizmu, aczkolwiek szereg rzeczy ich od niego odpycha.

ZWROT KU NACJONALIZMOWI

Przedewszystkiem wchodzą tu w grę pewne przejawy zewnętrzne dyktatury narodowej zarówno we Włoszech, jak i w Niemczech, które mogą zresztą budzić wątpliwości nawet u najbardziej integralnych nacjonalistów. Przeszkodę pewną stanowi również brak zrozumienia przeszłości własnego narodu, która przecież niejednokrotnie wytwarzała potężne indywidualności ludzkie. Wreszcie nie bez znaczenia jest przejęta od marksistów, od których się zresztą odżegnują, terminologja. Tem niemniej przedstawiciele nowej sztuki będą niewątpliwie się ideowo coraz bardziej zbliżali do nacjonalizmu, tego wielkiego prądu przyszłości, może często nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

Romuald Antoni Ślepowron-Pawłowski

O pewnym reportażu

Zamieszczony w n-rze 47 „ABC literacko-artystycznego" artykuł p. J. M. Chudka p. t. „Kraj lat dziecinnych Sienkiewicza" wywołał szereg zastrzeżeń przeciw ścisłości faktów, podanych przez autora oraz przeciw jego pochopnym wnioskom. Echa tych zastrzeżeń odbiły się w licznych listach do redakcji. Poniżej zamieszczamy obszerne uwagi, jakie otrzymaliśmy od p. R. M. Pawłowskiego z Jakubówki. (Red.).

W „ABC literacko-artystycznem" z dn. 11 listopada b. r. (Nr. 47) ukazał się reportaż p. Józefa Marjana Chudka p. t. „Kraj lat dziecinnych Sienkiewicza". Nie wdając się w literacką wartość wypracowania p. Chudka, zmuszony jestem na nie odpowiedzieć, gdyż w tym reportażu, jakoby tyczącym się antenatów Wielkiego Polaka, jest zawiele rażących błędów, no a sama tendencja jest taka, że z podziwu wyjść nie mogę, jak tego rodzaju koncepcja mogła przyjść autorowi na myśl. A może to rozmyślne „odbronzowianie"? Cui bono?

Zacznę od początku tego reportażu:

1) Ostatni z Cieciszowskich recte Cieciszewskich herbu Roch (kolumna) Adam w Jagodnem nietylko „w starokawalerstwie nie dożywał", ale wcale tam nie bywał, a tem bardziej „tam nie umarł". Nadwyrężywszy bowiem majątek przez procesy z rządem rosyjskim — jeden o wywłaszczenie gruntów pod budowę drogi żelaznej Łuków—Dęblin i drugi o malwersację gorzelanego (za którego jako właściciel gorzelni odpowiadał i grubą kontrawencję zapłacił) w magazynie gorzelniczym — dopuścił do licytacji, na której w roku 1880 dobra Wola-Okrzejska nabył starozakonny Bernstejn, sam zaś A. Cieciszewski osiadł na stałe w Puławach (więc nie w Jagodnem), a umarł w Warszawie gdzie, pojechawszy w swoich sprawach, zachorował śmiertelnie.

2) Czy ojciec Henryka Sienkiewicza Józef posiadał majątek Grotki sprawdzić narazie nie mogłem, ale dla p. Chudka podpis Józefa Sienkiewicza na akcie ślubnym mniej ma waloru, niż zaprzeczenie jakiegoś anonima, jak sam pisze „dwudziestej wody po kisielu" (u nas na określenie pokrewieństwa wystarcza dziesiąta woda). Mniejsza jednak o to, dziwię się tylko w jakim celu? (w tem szydło z worka wyłazi). Ale dlaczego tak śmiało p. Chudek dopuszcza się drugiego fałszu, że p. Józef Sienkiewicz był administratorem, czy rządcą, jak go w swoim reportażu tytułuje, majątków Czartoryskich w Woli Gułowskiej? Jest to zupełnie niezgodne z rzeczywistością, bo Józef Sienkiewicz jakiś czas dzierżawił niewielki kilkuwłókowy folwark Wolę Gułowską od właściciela magnackich dóbr Gułów i Osmolice z przyległościami (i wielu innych), a mianowicie od hrabiego Krasińskiego, dobra te bowiem weszły w dom książąt Czartoryskich dopiero w wieku bieżącym po zamążpójściu córki hr. Ludwika Krasińskiego za księcia Czartoryskiego.

3) Dalej co do degradacji p. Józefa Sienkewicza na jakiegoś półpiśmiennego szlagonika — jakoś p. Chudek słaby jest w znajomości historji pisowni polskiej (która dla większej powagi ortografją zowie), gdyż wielkie oczy robi na to, że w r. 1846 Józef Sienkiewicz podpisał „Oyciec" przez „y", a nie przez „j". Otóż powinien chyba p. Chudek wiedzieć, że w owych czasach w znakomitej większości druków dźwięki „aj", „oj", „ej" pisano przez ypsylon, a nie przez jot. Józef Sienkiewicz uczył się pisać mniej więcej w 19 — 20 roku ubiegłego stulecia, kiedy „joty" używano tylko na początku wyrazów. Wypływa z tego oczywiście, iż o tem „że ortografja od lat uległa zmianie", „nie miał czasu się dowiedzieć" — nie p. Józef Sienkiewicz, ale właśnie p. Chudek, który pomimo tej nieświadomości niestety nie „rzadko", ale zgoła niepotrzebnie „bierze" się za pióro.

4) Dalsza nieścisłość i nieodpowiedzialne twierdzenie, to że „mówił mi tego dnia rano p. Wacław Janasz, który odziedziczył „w jakiś okrężny sposób" po Cieciszowskich nietylko Jagodne, ale i nienawiść do starego Sienkiewicza".

Jagodne nigdy do Cieciszowskich nie należało, a od dwustu przeszło lat było w ręku Szydłowskich, jako główny majątek, do którego należały dobra Radoryż i Dwirczec. P. Wacław Janasz jest tylko zięciem obecnej spadkobierczyni Jagodnego p. Zofji z Szydłowskich Zaleskiej, wdowy po literacie i spółwydawcy „Słowa" Antonim Zaleskim, a osobistym przyjacielu H. Sienkiewicza. „Nienawiści" czy do starego Sienkiewicza, czy do kogo innego p. W. Janasz „dziedziczyć" nie mógł, bo tej nie było, a i p. Janasz wogóle nic tutaj nie dziedziczy. Zresztą cały ten ustęp tyczący się rozmowy p. Chudka z p. Janaszem jest wątpliwy, gdyż p. Janasz, jak to zaznaczył w liście z d. 20.XI.34 zamieszczonym w „ABC" Nr. 331 z d. 25.XI wcale z nim nie rozmawiał i rozmawiać nie chciał.

5) Następnie — mezaljans panny Stefanji Cieciszewskiej.

Sienkiewicze herbu Oksza sroce spod ogona nie wypadli, bo nawet jako literaci byli dawno znani: exemplum pijar Bernard Sienkiewicz panegirysta — ur. w roku 1650, Jan Karol bibljograf i historyk ur. w 1792 r. Dwaj dziadowie H. Sienkiewicza — rodzony Józef był ppułkownikiem artylerji W. P., a — stryjeczny Antoni też wojak odznaczył się jeszcze za Stanisława Augusta i w wojsku Napoleona. Ojciec H. Sienkiewicza również służył wojskowo. Czy Józef Sienkiewicz był posessionatus mniejsza z tem, ale był bene natus, zresztą co do posesji przeczenie p. Chudka jest b. słabe, oparte na zaprzeczeniu jakiejś nieznanej, jak i autor reportażu, osoby. Sam H. Sienkiewicz, a był b. biegły i świadom kolligacyj i historji rodów szlacheckich (vide wspomnienia A. Świętochowskiego „Prawda" z roku 1884), podał w „Kraju" wiadomość, że ojciec jego posiadał majątek w Radomskiem, a później gospodarzył w Wyżyczynie w Stanisławowskiem. Materjalnie panna Cieciszewska nie stanowiła „partji" — gdyż brat Adam (dzieci wcześnie osierociały, a było pięć sióstr, brat i siódma matka) żadnej siostry nie wyposażył, a mierny na owe czasy ca 300 włók majątek stracił, więc niezadłużony obywatel, a później dzierżawca powtarzam, a nie oficjalista, jak bezpodstawnie twierdzi p. Chudek, — mezaljansu dla ubogiej panny nie stanowił.

6) Co do daty ślubu p. Józefa Sienkiewicza, to sprawę tę dostatecznie wyjaśnił list Dr. Ireny Friemannowej (ABC l.-a. Nr. 48 z d. 18.XI.34). Omawianie wstrętnych domysłów „seksualnego detektywa", opartych na celowo bałamutnych przesłankach jest dla każdego uczciwego człowieka niemożliwe.

Co do wątpliwości p. Chudka dlaczego matka H. Sienkiewicza pochowana została na cmentarzu grzebalnym, a nie w podziemiach kościelnych, to się tłumaczy tem, że w roku 1873, na mocy przed kilkunastu, a może i więcej laty (zdaje się w latach 50 ubiegłego stulecia) wydanego prawa — grzebania zmarłych na cmentarzach przykościelnych lub w podziemiach kościelnych ustawowo było wzbronione.

P. S. Gotowy już list, spowodu mego niedomagania, przeleżał kilka dni i dobrze się stało, bo p. Chudek do swych nieścisłości i inwektyw dodał w Nr. 50 z d. 2.XII.34 jeszcze szereg wykrętów. A to:

Data ślubu teraz dla p. Chudka nie przedstawia już żadnych wątpliwości, gdyż „akt znajduje się w księgach metrykalnych z r. 1843 i na odwrocie obu kart znajdują się akta z roku 1843" — więc teraz p. Chudek „zdaje sobie sprawę jasno i wyraźnie" z tego „co się działo przed laty 90" Co? A jak obecny organista okrzejski p. Kurek zwracał „przemęczonemu", p. Chudkowi uwagę, że to tylko omyłka pisarska, to p. Chudek tę uwagę zignorował, a nad poprawką zrobioną własnoręcznie przez Xiędza kan. Gutmana i przez niego podpisaną „cyferką" przeszedł do porządku dziennego, jako „przemęczony i przesycony uprzedzeniem rodziny żony (czyjej?) do starego Sienkiewicza".

Ciekawym, od kogo o tem uprzedzeniu p. Chudek się dowiedział? Bo u. p. Dmochowskiego w Burcu nie był, a tylko otrzymał b. lakoniczne zawiadomienie, że p. Dmochowski żadnych wiadomości udzielić mu nie może. Pani Zaleska z nim nie rozmawiała, a p. Janasz, jako człowiek w tych stronach świeży (pierwszy raz był około roku 1914), a na stałe osiadły dopiero w roku 1931 — przytem żaden krewny lub powinowaty czy to Cieciszewskich, czy to Sienkiewiczów, ani uprzedzony, ani „przepojony nienawiścią" do starego Sienkiewicza być nie mógł, bo i z jakiej racji?

Obecnie p. Chudek to wszystko nazywa „ciekawostką archiwalną" „niewątpliwie interesującą". — Cóż to za wielka „ciekawostka" — niedopatrzenie starego i niedołężnego ówczesnego organisty Makulskiego — sprostowane jednak przez X. kan. Gutmana. Teraz p. Chudek to wszystko bagatelizuje, ale poprzednio wyolbrzymił tę omyłkę spisującego akt i na tej błahostce archiwalnej oparł całą historję i urodzin Kazimierza w miesiąc po ślubie i rzekomego mezaljansu z musu i wywołanej jakoby skutkiem tego „nienawiści" i pochowania p. Stefanji Sienkiewiczowej „na cmentarzu" i t. d. i t. d.

A teraz: nie ma na to żadnego uzasadnienia, aby pisać, że p. Stefanja wyszła zamąż wbrew woli rodziny (może niektórym to się nie podobało, jak to bywa na świecie) za administratora z Woli Gułowskiej. Oprócz uprzedniego sprostowania co do tego administratora — dodaję, że tu jest błąd w rozumowaniu, boć jeżeli, jak pisze Prot Lelewel „Stefanja znalazła sobie jakiegoś Sienkiewicza w Sandomierskiem... nie znamy nic" — no, to konia z rzędem temu, kto rozwiąże tę zagadkę, że rządcy z Woli Gułowskiej odległej o kilka kilometrów od Woli Okrzejskiej nikt nie znał, ani Prot Adam syn Karola i Ewy z Cieciszewskich Lelewel, ani Cieciszewscy, a ślub owego nieznanego, czy też znanego rządcy „był luksusowy" i pomimo zaślubin wbrew woli rodziny „zezwolenie ustne matki było oświadczone", a sam akt „podpisali świadkowie niebylejacy i Pr. Lelewel i An. Nofok i Al. Dmochowski i Fel. Cieciszewska".

No, a w jaki sposób godzi p. Chudek swoje twierdzenie, że Sienkiewicze Grotek nie posiadali, a w tym niby sprostowaniu pisze, że „rodzice Sienkiewicza posiadają jakieś tam Grotki"? Skąd p. Chudek się dowiedział, że Cieciszowscy wówczas byli dziedzicami „na wsiach z przyległościami" — to całej parady Wola Okrzejska (bez porządnego nawet dworu) i pół wsi Okrzeja — bo część była to królewszczyzna. No i taka wielka, wielka różnica między Grotkami i Wolą Okrzejską? Między Sienkiewiczami i Cieciszowskimi? Widocznie p. Chudkowi zdaje się, że jedna lub więcej Infuł w rodzie czyni rody i magnatów. Zresztą w ziemiaństwie i dawnem i współczesnem i jego pojmowaniu pozycji towarzyskiej p. Chudek nie tęgo się orjentuje. Co zaś do małżeństwa z lekarzem i t. p., to jest inna sprawa — wówczas zapatrywano się na nich jako na „procederników", no i nie było przyjęte panien za nich wydawać.

Jakubówka, p. Okrzeja

w grudniu 1934.

Miłosz Gembarzewski

Ostoja



Jej życiem były krótkie lata dobrobytu w ziemiańskim domu rodzicielskim — wspomnienia wsi kresowej; potem, przewidywane w istocie, ale nagłe zmiany losu: szare miasto, uciążliwe zabiegi, aby pracując w okolicznościach przeciwstawnych wrodzonym umiłowaniom, podtrzymywać zanikające siły; starość przedwczesna, pożegnanie świata, zamkniętego dla niej w czterech ścianach schronienia, gdzie nie miała czegokolwiek swojego.

Nie. To nie było jej życie. Ogromna pamięć, spostrzegawczość i uczuciowość wyrażana tak prosto, że stawała się niedostrzegalną dla mędrców zawodowych, składały się na bogactwo szlachetne duszy kobiecej.

Nie trzeba, aby więcej lat ubiegło od daty śmierci Józefy Sawickiej — Ostoi, powieściopisarki — artystki, bo ona właśnie „realistka pozytywna" przypomniana być musi, dzisiaj, gdy wiele kobiet, utalentowanych nawet, odtwarza z nowoczesną dokładnością dzieje ludzi nieznacznych.

Józefa - Konstancja Sawicka, literatka znana pod pseudonimem „Ostoi", urodzona 13 stycznia 1850 r., w Grodzieńskiem we wsi Łopaczynie (— cinie) lub Łopaczyce (mylnie: Łączyn). Dane te (z ksiąg ludności) przeczą wiadomościom w pełnem pomyłek dziele prof. Korbuta (błędne daty pisane przez tego listoryka sprostowałem także już kiedyś pisząc o Sewerynie Fillebornie, ect.).

Przyszła literatka kształciła się w domu rodzinnym; później, dopełniwszy swych wiadom., zdała egzamin na nauczycielkę (w 1889 r.). Wykładała na pensjach i dawała lekcje prywatnie; dla zwiększenia skromnych dochodów, utrzymywała sublokatorów, przez kilkanaście lat odnajmując pokoje przy ulicy Chmielnej numer 29 mieszkania 18.

Przedwczesna starość, wyczerpanie. Krótkie są notatki w szpitalu Dzieciątka Jezus, gdzie zapisano ją w poczet chorych 11 sierpnia, wypisano — jako zmarłą — 29 grudnia 1920. Pochowana na Powązkach, na koszt Kasy Literatów i Dziennikarzy; ruchomości jej oddano Józefowi Sawickiemu (miała dwuch braci, z których jeden zamieszkały w Wileńszczyźnie, wspierał siostrę w ostatnich latach jej życia). — Mogiła pusta: bez krzyża, tablicy — zapomnienie.

Józefa Sawicka, realistka, o której pisano, że odtwarza tylko nieszczęśliwe albo nikczemne postacie, ona mająca być pozbawiona zupełnie „serdeczności i humoru... tkliwości kobiecej", była, twierdzę, najbardziej arystokratyczną, mądrze opanowaną z polskich literatek opisujących biedę — naszego brata, siostry naszej.

Uczucie mocne tchnie przez wyrazisty opis, w którym pominięte przymiotniki i brutalne wyrażenia, wszystko jest widoczne, zrozumiałe, wypowiedziane dostatecznie i niema wątpliwości, że autorka jest serdeczną — kocha; nienawidzi bezwzględnie; rezygnacji nie ma.

Oto fragment z noweli p. t. „Panienka".

„Mania skończyła nareszcie zapinać rękawiczki; cała klasa obejrzała ją raz jeszcze od stop do głowy. — Śliczna! — szepnęły jednogłośnie. Wyszły za nią na korytarz, odprowadziły ją aż do drzwi salonu. Stasia została, sama; rozejrzała się po sypialni. Prawie ze wszystkich łóżek pościel już zabrano, pozostały tylko materace; gdzieniegdzie leżał fartuszek, stary bucik, kurz; nieład, smutna pustka wyglądała z każdego kąta. Z podwórza dolatywał turkot odjeżdżających dorożek; za godzinę nie pozostanie żywej duszy w tym obszernym lokalu.

— Co ja teraz z sobą pocznę? — Kręciła palce, jak podczas wydawania bardzo trudnej lekcji".

Porównanie ze współczesnym sposobem pisania będzie charakterystyką prac Ostoi - Sawickiej. Jakże opisałaby Pola Gojawiczyńska chwilę tragiczną z życia sieroty — Stasi, pierwszej uczennicy, opuszczonej przez wszystkich w dniu otrzymania matury? Przedewszystkiem w opisie sypialni pensjonarskiej ile szczegółów dodałyby teraźniejsze „realistki": conajmniej dwuznaczniki. Szczególne upodobanie do analizy pisarskiej różnych zapachów, kolorów brudu, zdawanie sprawy z objawów cielesnych życia bohaterek opowieści, jest uważana za dokładność, życiowość kobiet, zajmujących się literaturą.

Rzeczywisty talent Gojawiczyńskiej ujawnia się w odczuwaniu wrażeń wszystkich opisywanych przez nią osób, i dopiero, jakby w pamięci (nie współcześnie z działaniem) tych bohaterów anty - romansu kojarzą się zjawiska dość mgławicowe, mimo realizmu szybkie jak myśl — odczucie, w imieniu opisywanych, zamknięte w zdaniu podobnie krótkiem jak u Ostoi.

Ale Sawicka - Ostoja, która opisuje „zzewnątrz", patrzy bystro ogromnie, i wyrazistością rysów twarzowej postaci dozwala ujrzeć obrazy myśli biednej Stasi — pensjonarki, Mani Łaszczówny, i tylu innych. Autorka panuje nad tematem: z wrażeniem wyrazistości opisu kojarzy się u czytelnika, natychmiast, odczucie wrażeń opisywanych osób. U Gojawiczyńskiej — mglistość, którą mają rozjaśniać jedynie ciemne, czasem brudne, krechy.

Sawicka - Ostoja jest realistką — arystokratką. Realizm Gojawiczyńskiej — jest proletarjacki.

Sawicka - Ostoja, mocą talentu, przekonywa o swej znajomości najwszechstronniejszej życia; opisuje wyraziście; słowa jej — wszystkie konieczne dla odmalowania powierzchni i głębi: uczucia. Zupełnie zbyteczne, dla jej "realizmu: wyrażenia cuchnące, wglądy kaprawe, „podchodzenia" kulejące, ubiór ze śmiecia.

Krytycy literaccy, wypowiadali o Sawickiej sądy najsprzeczniejsze.

Profesor Drogoszewski, nie wiele myśląc, zapatrzył się w „szczegóły", które wkońcu przedstawiły mu się jako jednostajnie szara „powierzchnia; oto wynik analizy uparcie dokonywanej przez krytyka, który nie odczuwa wszystkiego, co jest obrazem uczuć poza wyrazami; a wyrazy chociaż nie rysują biało na czarnem, lub czerwono, — łez, śmiechu, ale są pełne żalu albo radości. Mentor - krytyk pisze zatem.

„Ultrarealistyczna metoda rysowania postaci sztrychami bardzo drobnemi..., bynajmniej nie uzdolnia autorki do kompozycji o szerszym zakroju". „Autorka zbyt jednostajnie rozprasza światło swej obserwacji na wszystkie punkty badanej powierzchni, nie umie go skupić na punkcie wydatniejszym. Cóż dziwnego, że gubimy się wśród szczegółów, że nużą nas one, że nie umiemy zwrócić uwagi w należytym kierunku."

Ta krytyka jest dokładnem opisem samopoczucia, ale tylko prof. Długoszewskiego, któremu nie wolno używać liczby mnogiej, bo sam tylko gubi się wśród szczegółów, nużą go one, nie umie zwrócić uwagi w należytym kierunku. I w tem właśnie: „nic dziwnego". „Kto chce zrozumieć poetę — ten musi iść do kraju poety", — a nie rozdzielać włos na czworo.

Więcej usprawniony od poprzedniego wyrokodawcy, bo sam pisarz (nie natchniony) Jeske-Choiński wypisał w swoich „typach i ideałach pozytywnej beletrystyki polskiej":

„Sawicka... tworzy przedmiotowo, nie usiłując tłumaczyć [illegible] biedaków... Rysunek jej razi brakiem miękkich okrągłych linij, a dykcja ubóstwem ciepła. Ta suchość wyobraźni zadziwia u kobiety".

Odpowiadam na to, że Ostoja-Sawicka nie potrzebowała tłumaczyć niedoli, pisała nie używając słów zbytecznych; czytelnik rozumiał, co w jej nowelach żyje: uczucia fala; światło, nieukładające się w „miękkie, okrągłe linje" rokoka, które lubił Jeske - Choiński (patrz — jego powieść: „Błyskawice"), światła krwi żywej. I ona, zachwycająca się Ibsenem, Wyspiańskim, nie szła w korowodzie pozytywistów, a Choińskiemu odpowiedziała sama:

„W literaturze całego świata niema prawdziwie pięknej powieści bez miłości. Subtelna i umiejętna psychologja tego, bądźcobądź najpotężniejszego uczucia, stanowi wybitną cechę wszystkich wielkich talentów..."

I mocą swej wyobraźni sprawiła autorka, że w cytowanej noweli „Panienka", ta Stasia, o której wzruszeniach miłosnych nie wspomniano, która nawet ucieka od erotycznej, łatwej przygody, jest pełna życia, zdolną do wielkiego ukochania i namiętności.

Kłoni się wreszcie i Choiński, stwierdzając:

„Już pierwszy tomik Ostoi uczynił ją znaną... Bo też żadna z beletrystek współczesnych (wówczas — nasz przypisek) nie wystąpiła z taką dojrzałością artystyczną, jak Ostoja, panująca zupełnie nad materjałem".

Słuszne słowa Wład. Jabłonowskiego, nie mogące już, niestety, być pociechą dla bojowniczki, bo pisane po jej zgonie:

„Ona wyróżniała się prawdziwie naturalnym darem treściwego przedstawienia najbogatszych w treść stosunków i położeń życiowych, w niczem przytem nie zmniejszając siły wyrazu, potęgi wymowy artystycznej... unikając cech i rysów drugorzędnych, przeładowania szczegółami, rozwlekłości opisowych, charakterystyk drobiazgowych".

Nie zgodzę się tylko z Jabłonowskim, aby Ostoja. „malowniczość i efektowność zastępowała niezwyczajną trafnością spostrzeżeń". — Spostrzeżeń? — Tak, o tem powiedziałem wyżej, ale Stasia, odbierająca nagrodę, potem opuszczona przez przyjaciółki-koleżanki, i Mania zalotna, i żołnierz Mazur („Świr... świr...") w wojsku pruskiem, i nierozważna Pola, męczona halucynacją, gdy patrzy „na lipę pośrodku klombu, widzi leciuchne drganie zżółkłych liści, które migają jak złote gwiazdki w srebrzystem świetle księżyca" — to wszystko malownicze, wymowne, pełne uczucia.

W 1676 r., żył pan Mikołaj Truskolaski, podkomorzy halicki; jego córka Konstancja wyszła za mąż za Dominika Potockiego, podskarbiego nadwornego koronnego. W dziewiętnastem stuleciu Konstancja Truskolaska zaślubiła p. Józefa Sawickiego, kasztelanicowego pra-prawnuka; córka ich — artystka arystokratyczna, wyraźniej karmazynowa od linji podskarbich nadwornych koronnych, literatka: „Ostoja" (pseudonim).

Profil kobiety pięknej, jakby zmęczonej, z rysem bolesnym, według fizjonomistów, właściwym ludziom, którzy godzą się ze swoim jarzmem (po ilu próbach walki z przeciwnościami?).

Wielka dama. Urok podobizny z czasów minionych; a poza nią, tyle kart pełnych serdecznego uczucia: dzieł sztuki.

S A T Y R A

Zygmunt Jurkowski

Przepisy rywalizacji

Motto: To, czego dokonywa się z miłości, dzieje się zawsze poza dobrem i złem.
(Fryderyk Nietsche).

Dawniej brało się sztylet i wbijało rywalowi w plecy, był to sposób dość prosty i w skutkach gwarantowany. Mam tu na myśli tę najszczytniejszą rywalizację, czyli współzawodnictwo w zdobywaniu „serduszka" albo jak kto woli ‚rączki" pięknej kobiety. Niestety dziś obostrzone przepisy, krępują nas w tym względzie i walka z rywalami jest bardziej skomplikowana. Miast trucizny i noża operuje się dziś humanitarnemi środkami, które polegają na: łagodnej perswazji, wyrozumiałem pobłażaniu w stosunku do kobiety oraz subtelnem ośmieszaniu i obrzydzaniu rywala, prowokowaniu go do niezręcznych posunięć i niekorzystnych sytuacyj, co w oczach damy „wykańcza" go lepiej, niż nóż, czy arszenik.

Cała sztuka w tem, żeby truć gościa przyjacielsko, nie dając ponieść się pasji, co mogłoby wywołać wręcz odwrotny skutek. Należy też zapoznać się przedtem dokładnie z organizmem danego rywala, a to w celu dobrania odpowiedniej trutki, bo co jednego może uśmiercić z miejsca, to drugiemu akurat może wyjść na zdrowie. Co się tyczy pięknych pań, to „serduszka" ich reagują dość steoretypowo, toteż znając metody postępowania nie należy się z tej strony obawiać niespodzianek. Dla ułatwienia zainteresowanym walki z rywalami, zebrałem garstkę przepisów, któremi chętnie podzielę się, zaznaczając, że doświadczenie w tej dziedzinie, czerpałem wyłącznie od strony negatywnej i tuszę, że jako osobiście poszkodowany, zdobyłem materjał pewny i skuteczny.

A więc:

Jeżeli rywal lubi śpiewać i przytem fałszuje, należy zawsze w obecności zainteresowanej damy, namawiać go usilnie do śpiewu, i zachwycać się jego wspaniałym głosem. Należy się przytem starać o jaknajliczniejsze audyterjum melomanów.

Jeżeli rywal ma krzywe nogi, trzeba wmówić w niego przy damie serca, że pięknieby wyglądał w sportowem ubraniu. Trzeba wysilić cały spryt i wystroić faceta w pończochy. Niech się panna przekona, jakiego ma pokrakę.

Jeżeli rywal jest źle zbudowany, to trzeba zaaranżować koniecznie spotkanie na plaży (zimą w basenie Kasy Chorych) i pokazać go w kostjumie kąpielowym. Niech się objawi w całej swojej marności. **Uwaga: Trzeba do tego być samemu dobrze zbudowanym.**

Jeżeli rywal się jąka albo ma złą wymowę, trzeba prowadzić z nim bez przerwy długie i zaciekłe dysputy.

Jeżeli rywal źle tańczy, trzeba wyprowadzać pannę na dancingi.

Jeżeli rywal posiada pieniądze i auto, trzeba dużo kobiecie mówić o snobizmie, kołtuństwie i znikomości mieszczańskiego posiadania, przeciwstawiając mu wartości duchowe i zalety męskiego charakteru. Ponadto nie zawadzi wspomnieć o dzisiejszem materjaliźmie wśród kobiet, które „lecą" na każdego faceta, byleby tylko miał forsę i auto" *). **Uwaga: Trzeba samemu posiadać trochę duchowych zalet.**

Jeżeli rywal nie posiada pieniędzy, natomiast posiada wartości duchowe, należy mówić o nim, jako o człowieku, który nie mając podstaw materjalnych, nie będzie nigdy w możności uszczęśliwić kobiety. **Uwaga: należy wtedy samemu posiadać dość dużo pieniędzy.**

Jeżeli rywal jest bogaty i piękny, trzeba powtórzyć zabieg ze snobizmem i ponadto znaleźć koniecznie jakąś „piętę Achillesa": może jest głupi, może był karany sądownie albo ma jakieś nieuleczalne choróbsko, może ulega jakimś nałogom (alkoholizm, narkomanja), brzydkim przyzwyczajeniom, albo poprostu wogóle ma pecha. Znalazłszy jakieś „ale", należy pannę dobrotliwie i łagodnie ostrzec, współczując serdecznie jego niedoli. O urodzie rywala należy wyrazić się, że jest „trochę lalkowata" i że „dziś raczej jest w modzie interesująca brzydota u mężczyzn". **Uwaga: wymienić paru aktorów filmowych, obarczonych taką właśnie interesującą brzydotą:** Wallace Beery, George Raft, Jack Holt, Noak Beery etc...

Jeżeli rywal jest interesująco-brzydki i to ją „bierze", należy wymyślić dla jego „urody" jakieś niemiłe porównanie, że przypomina wieprza, papugę, krowę, pinczerka, że mlaska przy jedzeniu, że nie ma za grosz wdzięku (!) i gustu, i że wogóle jest trywjalny (dziadek był pewnie fornalem).

A teraz kilka wprawek w wypadkach bardziej skomplikowanych.

Jeżeli rywal jest np. ziemianinem:

— Droga Pani, dziś ziemiaństwo, to nie to co dawniej, siedzą po uszy w długach a majątki idą na licytację. Kompletnie przeżyta i zacofana kasta. Przecież od takiego jegomościa trąci na kilometr prowincją, albo ten dziwaczny strój; jakieś świtki, kurtki, samodziały i ten kapelusz z przyczepionym stylu pendzelkiem do golenia, a nadewszystko jest śmieszna mina zarozumialcza i butna, bez najmniejszych podstaw potemu. Książę, no to co innego, ma przynajmniej tytuł, ale taki wiatrem podszyty szlachetka? A to siedzenie na wsi, z kurami spać i wstawać, na obiad i kolację nic tylko żurek i zalewajka, a wszystko przesączone jakąś bezdenną nudą. Świat zabity deskami. Ręczę, że uciekłaby pani stamtąd po miesiącu.

Jeżeli rywal jest oficerem:

— No dobrze, powiedzmy że ta stała, choć niewielka pensyjka ma swoje znaczenie, ale ta ciągła świadomość, że przez całe życie nie wpłynie ani jeden grosz ponad ustalone normy... To straszne takie życie bez niespodzianek. Jedyną atrakcją może być wojna, w której oficer narażony jest bardziej od innych. A ta chandra garnizonowa! A te dzieci, których jedynemi zabawkami są puste pudełka od sardynek i pasty do obuwia. A ten poziom intelektualny, pożal się Boże! Nie mam tu oczywiście na myśli oficerów polskich, bo ci przecież stoją dziś na czele krzewienia kultury i sztuki, tylko tak wogóle, proszę szanownej pani... Ręczę, że uciekłaby pani stamtąd po miesiącu.

Jeżeli rywal jest satyrykiem, pisującym powiedzmy w ABC:

— Ależ, proszę pani, to przecież człowiek niepoważny. Pisze jakieś tam bzdury, kto to wogóle czyta? A z czego się tu śmiać, pytam? Weźmy dowcip takiego Makuszyńskiego albo Sęka, o, to jest klasa, subtelny, cięty, ale to, proszę pani, to czyste kpiny, co tam zresztą takie ujadanie po gazetach. I wogóle co za mentalność może mieć taki facet, który każdą rzecz stara się zohydzić i wykoszlawić. Czyż taki może być zdolny do prawdziwej, czystej miłości? Śmiem wątpić. Ręczę, że nie wytrzymałaby pani długo z takim delikwentem. **Uwaga: trzeba być samemu bardzo poważnym i statecznym, nie śmiać się prawie nigdy, i mieć o wszystkiem wyrobione zdanie.**

Oto garstka wskazówek do walki z rywalizacją, bardzo zresztą zgrubsza ujętą. W tej formie należałoby je stosować raczej w pierwszych stadjach rywalizacji, t. zn. kiedy dama nie jest jeszcze wyraźnie zadeklarowana, w późniejszych stadjach należy zachować więcej ostrożności, kładąc ogromny nacisk na timbre każdego zdania, bowiem kobiety są to istoty wrażliwe i bardzo muzykalne.

Reasumując wszystko to, co powiedziałem, konstatuję ze smutkiem, że powiedziałem bardzo niewiele. Przecież pozbyć się rywala, to zaledwie mikro - cząsteczka dalszego ogromu sprawy. A co potem? No, więc już jest twoja, no proszę! Łaź z nią teraz człowieku po kinach, wysiaduj po kawiarniach, obtańcowuj po dancingach, wystawaj przed bramami, całuj po kątach i wysłuchuj tysięcy głupstewek, odpowiadając na nie tysiącami innych.

— A czyja to nózia?
— A moja.
— A czyja to rąsia?
— A moja.
— A czyj ten nosek?
— A twój...

To nie jest takie proste, można się łatwo zaplątać.

*) Autor czuje się w obowiązku nadmienić, że zabieg ten bardzo rzadko się udaje.

„Czas" to pieniądz



Rys. Z. Jurkowski

Podział B. B. na lewicę i prawicę.

Za parawanem
dziecinnego pokoju

W dzisiejszych czasach szalejącej zgnilizny moralnej, pismo dla dzieci „Mały Płomyczek" w numerze 8-ym, z dnia 3 grudnia rozpoczęło godną poklasku akcję walki z demoralizacją wśród naszych najmłodszych pociech. Z radością stwierdzamy, że uczyniono już pierwszy krok w tym kierunku, drukując wierszyk p. t. „Lalka Ewci", w którym to utworze, wszystkie bardziej drastyczne wyrazy zastąpiono tylko pierwszemi literami i kropkami. Przytaczamy ten wierszyk jako przykład godny naśladowania.

Na odpuście babcia była,
lalkę wnuczce swej k...
Patrzy Ewcia na tę lalę:
lala nie ubrana wc...
Zamyśliła się troszeczkę:
jak tu ubrać tę l.....
Od siostrzyczki swojej, Hanki
weźmie szmatki i g...

Młoda Matka.

Janusz Minkiewicz

Aktualja

Kazimierz Wierzyński w recenzji swej ze sztuki p. Morozowicz Szczepkowskiej „Typ A" zwrócił się do mnie jako do „lekarza literackich chorób kobiecych" prawdopodobnie, abym postawił swą nieśmiałą diagnozę w tej sprawie.

Niestety, gdy przybyłem na miejsce nieszczęścia do teatru „Ateneum", wszelka pomoc okazała się spóźniona. Poronienie nastąpiło przed mojem przybyciem i niedonoszony płód od paru już dni karmiony był przez swą mamkę, a raczej przez swą grafo-mamkę. Od kompromitacji nie zdołała uratować doskonała akuszerja (czy tam — reżyserja — jak głosi program) Zofji Modrzewskiej.

Literacki potworek, jakim jest niewątpliwie noworodek pani Morozowicz - Szczepkowskiej, ma jednak zapewnionych kilkadziesiąt dni życia. Podtrzymuje je zapewne codzień sfora roznamiętnionych babsztyli, które łypią zgłodniałemi oczami w stronę rosłego golasa wypinającego się na scenie.

Ten golas to clou całego sztuczydła. Autorka weszła w ciężkie położenie starszych pań, którym w obecnej porze roku za zimno jest oglądać i podniecać się wittigowskim nagusem przed „Zachętą". Pokazała im przeto golasa ciepłego i żywego. Ale jednocześnie wzbudziła w tych paniach uczucie zazdrości dla swego szczęśliwego położenia przed premjerą tej „komedji". Zazdroszczą jej napewno tego, iż nim jej dzieło ujrzało światło dzienne, musiała się dowoli napatrzeć na krocie męskich aktów, które kandydowały do objęcia najważniejszej roli. Nie przewidziała tylko, że na scenie nudyzm zamieni się w nudę.

Czyż nie lepiej było się porozumieć z jakimś ginekologiem, jak uniknąć niefortunnej premjery. Napewno zaleciliby jej, jak w znanym kawale, szklankę zimnej wody. Nie po napisaniu, nie przed napisaniem, ale z a m i a s t !

Bo kobieta przecież może nie pisać. Najlepszym tego dowodem jest sympatyczny wieczór, jakiego byliśmy niedawno świadkami w „SIM-ie". Miały tam występować różne panie. Jakież było ogólne zdziwienie i jakaż była ogólna radość, gdy wykonawczynie, zamiast wystąpić ze swemi utworami, zademonstrowały poprostu kobiecą modę sportową. Śliczne stroje tenisowe, lekko-atletyczne, narciarskie i t. p. osnute na motywach ludowych wzbudziły ogólny zachwyt. Aż serce się radowało, gdy piękne panie zamiast grubych rękopisów niosły w rękach oszczepy, rakiety, narty, lub podskakując na estradzie bawiły się piłką z publicznością.

Ogólną radość mącił tylko fakt, że niestety pośród tych przemiłych niewiast trudno było dostrzec nasze literatki. A szkoda! Czyż nie lepiej byłoby, gdyby naprzykład taka pani Morozowicz-Szczepkowska zamiast produkować się w IPS-ie swemi utworami, skakała po SIM-ie w przewiewnym stroju za piłką? Albo gdyby pani Migowa w tymże SIM-ie, na tymże wieczorze zabawiła się w berka z panią, dajmy na to, Herminją Naglerową? Albo gdyby pannę Muszał ktoś rozruszał i namówił do efektownego skoku o tyczce? Albo gdyby pani Zarembina wykonała parę przysiadów i podskoków?...

Gdyby... gdyby... A tymczasem te panie nie skaczą, nie podskakują, nie biegają, nie gimnastykują się, ba, nawet nie przewietrzają stęchłej atmosfery, jaką jest nasiąknięte każde ich dzieło. Więcej higjeny, drogie panie!

Bo trzeba będzie już prędko założyć jakieś nowe L. O. P. P. P. P., t. zn. Ligę Obrony Publiczności Przed Pisującemi Paniami. Albo nawet: L. O. P. P. P. P. P. P. P. P. P., t. zn. Ligę Obrony Publiczności Przed Paniami Popełniającemi Poezje, Powieści, Przekłady, Plagjaty, Poematy...

Polskie rzeki i strumyki

Niespokojna i rwąca rzeka **Wieniawka,** bierze swój początek u podnóża stromych skał Belwederu. Zasilona w swym górnym biegu dopływem rzeczki **Żytniówki,** przepływa majestatycznie przez środek **Europy,** gdzie bierze w siebie dalsze dopływy **Siwuchy** i **Kminkówki,** poczem zawadziwszy o żydowską mieścinę



Colombinę, wpada z łoskotem do **Adrji.** Grunt tej rzeki mulisty, poziom wody wysoki, aczkolwiek często opada.

Zarybienie bardzo urozmaicone: **Liny a la flaki, Szczupaki po żydowsku, Łososie z rusztu. Śledzie w śmietanie, ponadto kawiory astrachańskie, homary, raki, sardynki, szprotki i płotki.**

Bogactwa chemiczne rzeki: **15 proc. alkoholu, trzeźwiące sole** i formujące się z biegiem czasu **złoża wapienne.**

W pewnych porach, a zwłaszcza w nocy, niespokojna **Wieniawka** występuje często ze swego koryta i grożąc wylaniem, zmusza trwożliwą ludność żydowską do ucieczki z nadbrzeżnych portów: **Paradisu, Bristolu i Colombiny.**

Szumna i rozsławiona rzeka **Wieniawka** opiewana w poezji i owiana legendą, nęci urokiem barwnego krajobrazu, ściągając liczne rzesze pięknych zwolenniczek wędkarskiego sportu.

(Z. J.)

KAŻDY ŚWIATŁY POLAK — PIONIEREM OŚWIATY: UMIEJĄCY CZYTAĆ UCZY ANALFABETĘ!
Oto zadania Miesiąca likwidacji analfabetyzmu.
Wskazówki w Polskiej Macierzy Szkolnej, Warszawa, Krakowskie Przedmieście 7 m. 4.

Krótka satyra na stosunki panujące w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej

Raz w Sing - Singu
Syn King - Konga
Na dancingu
Grał w ping - ponga.

jm.